

MICHAŁ BUŁGAKOW

MISTRZ
|
MAŁGORZATA



PRZEKŁAD
BARBARA DOHNALIK

MICHAŁ BUŁGAKOW

MISTRZ
|
MAŁGORZATA

**PRZEKŁAD
BARBARA DOHNALIK**

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2018

[Kup książkę](#)

...tak więc, kim jesteś w końcu?
– Jam – częścią tej siły, co zła chcąc wiecznie
– wiecznie dobro czyni.

Goethe, „Faust”¹

¹ Przekł. z jęz. ros. B. Dohnalik.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

POD ŻADNYM PRETEKSTEM NIE ROZMAWIAJ Z NIEZNAJOMYMI

W porze upalnego wiosennego zmierzchu na Patriarszych Prudach pojawiło się dwóch obywateli. Pierwszy z nich, ubrany w letni poszarzały garnitur, był niskiego wzrostu, pulchny, łysy; swój całkiem przyzwoity kapelusz niósł pod pachą zwinięty na kształt pierożka, a na idealnie wygolonym obliczu ułokowały się zaskakujących rozmiarów okulary w czarnej rogowej oprawie. Drugi – barczysty, młody, rudawy ze sterczącymi włosami, zsunietą do tyłu kraciatą cyklistówką, miał na sobie kowbojską koszulę, jakby wyjęte z gardła pomiętoszone białe spodnie i czarne pepegi.

Pierwszym był nie kto inny, a tylko Michał Aleksandrowicz Berlioz, prezes zarządu jednego z ważniejszych literackich stowarzyszeń, w skrócie MASSOLIT, jak również redaktor naczelny literackiego periodyku „Bezbożnik”, towarzyszył mu młodzieniec Iwan Nikołajewicz Ponyriow – poeta, piszący pod pseudonimem Bezdomny.

Znalazłszy się wreszcie w wątym cieniu ledwo co pozieleniałych lip, pisarze w pierwszym odruchu rzucili się ku pstrokato wypacykowanej budce z napisem „Piwo i napoje”.

Ale – ale... wypadałoby już w tym miejscu zwrócić uwagę na pierwszy niedający się wyjaśnić przypadek, zaistniały tego przynębiającego majowego wieczoru. Nie tylko przy budce, ale również wzdłuż całej alei równoległej do Małej Bronnej nie uświadczylbyś, Czytelniku, ani jednego człowieka. W tym właśnie czasie, kiedy już nie starczało sił, żeby oddychać, kiedy słońce, rozżarzywszy Moskwę do czerwoności, przetoczyło się owiane chmurą pyłu gdzieś za Sadowoje Kolco – nikt, ale to nikt nie zajrzał pod lipy, nikt nie przysiadł na ławeczce, aleja świeciła pustkami.

– Kroplę narzanu – poprosił Berlioz.

– Nie ma narzanu – nie wiedzieć czemu urażona do żywego odpowiedziała kobieta w budce.

– A piwo? – wychrypiał żądny informacji Bezdomny.
– Piwo przywiozą pod wieczór – wyjaśniła.
– A co jest? – indagował Berlioz.
– Nektar morelowy. Tyle że ciepły – wyraziła się sprzedawczyni.

– To nic! To nic! Bierzemy!...

Z nektaru morelowego wydzielila się obfita żółta piana i w powietrzu powiało wonią fryzjerni. Można powiedzieć, że literaci prawie od razu po wypiciu dostali czkawki, nie zwracając na to uwagi, zapłacili, po czym rozsiedli się na ławeczce – twarzą w kierunku stawu, a plecami do Bronnej.

I tu zaistniał kolejny, niedający się wyjaśnić, dziwny przypadek, odnoszący się wyłącznie do Berlioza. Nieoczekiwanie przestał czkać, jego serce zabiło i zapodziało się gdzieś na mgnienie oka, aby powrócić z wszytą gdzieś wewnątrz tępą igłą. A na dodatek Berliozem zawładnął niczym nieuzasadniony, ale na tyle silny strach, że w tym samym momencie zapragnął uciec z Patriaszycz Prudów, nie oglądając się za siebie. Berlioz rozejrzał się smętnie, nie mogąc zrozumieć, co go tak przestraszyło. Pobladł, przetarł czoło chusteczką i pomyślał: „Co się za mną dzieje? Coś takiego nigdy mi się nie zdarzyło... serce płata figle... jestem przemęczony. Wybaczcie, pora rzucić to wszystko w diabły i... do Kisłowodzka...”.

W tym momencie spiekota przed Berliozem zaczęła gęstnieć i z tej powietrznej spiekoty wyłonił się przejrzysty na wylot obywatel o niezwykle dziwnym wyglądzie. Na małej główce tkwiła dżokejka, a dalej – kraciasty, kusy fraczek utkany z powietrza... Obywatel liczył sobie sążęń wzrostu, ale w ramionach był nieprawdopodobnie wąziutki, chudziutki, a fizjonomia, proszę tylko zauważyć, szydercza.

Życie Berlioza układało się w taki sposób, że nie mogło być w nim miejsca na żadne jakieś tam niewytłumaczalne zjawiska. Pobladł jeszcze bardziej, wybałuszył oczy i w panice przemknęło mu przez myśl: „Czegoś takiego po prostu nie ma”...

Ale coś takiego, niestety, było... I długi, przeźroczysty obywatel, nie dotykając ziemi, kołysał się przed nim to w lewo, to w prawo.

Tu strach owładnął Berliozem do tego stopnia, że zamknął oczy. A kiedy je otworzył, zobaczył, że wszystko się skończyło, mara szczyła, kraciasty zniknął i jednocześnie wyrwała się z serca tępa igła.

– Tfu... do diabła! – wrzasnął redaktor. – Iwan, słuchaj, omal nie dostałem udaru od tej spiekoty! Mignęło mi nawet coś w rodzaju halucynacji.

Spróbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach ciągle jeszcze czaiła się trwoga i dygotały ręce.

Co prawda powolutku, ale jednak się uspokajał, kilka razy powachlował chusteczką, obwieszczając, nieomal pokrzepiony na duchu: „a zatem, to będzie tak”... I poprowadził wykład, przerywany popijaniem morelowego nektaru.

Ta przemowa, jak później wyjaśniono, dotyczyła Jezusa Chrystusa. Problem tkwił w tym, że redaktor zamówił do następnego numeru pisma wielki antyreligijny poemat. Poemat ów został napisany przez Iwana Nikołajewicza w bardzo krótkim czasie, ale niestety nie satysfakcjonował redaktora. Bezdomny co prawda naszkicował głównego bohatera swojego poematu, to znaczy Jezusa Chrystusa, odpowiednio grubą czarną kreską, ale tym niemniej poemat należało według opinii redaktora napisać od nowa. I właśnie teraz redaktor dawał coś w rodzaju wykładu o Jezusie, mając na celu przede wszystkim podkreślenie fundamentalnego błędu poety. Trudno powiedzieć, co było powodem klęski Iwana: siła jego wyobraźni i talent czy też całkowita nieznajomość zagadnienia, ale co tu ukrywać, Jezus wyszedł mu jak żywy, ten Jezus ongiś istniejący rzeczywiście, choć co prawda obdarzony wszelkimi najgorszymi cechami charakteru. Berlioz chciał pokazać poecie, że ważne jest nie to, jaki był Jezus, zły czy też dobry. Ale rzecz w tym, że Jezusa jako takiego w ogóle nie było, że wszystkie opowieści o nim to po prostu wymysły, najzwyczajniejsze w świecie mity.

Trzeba zauważyć, że redaktor był człowiekiem odczytanym i w sposób umiejętny wskazywał w swojej przemowie na starożytnych historyków, a to na wybitnego Filona z Aleksandrii i błyskotliwego, znakomicie wykształconego Józefa Flawiusza, który nigdy ani słowem nie wspomniał o istnieniu Jezusa. Erudycyjnie bez zastrzeżeń, Michaił Aleksandrowicz powiadomił poetę również

o tym, że miejsce w księdze piętnastej w rozdziale czterdziestym czwartym słynnych „Annałów” Tacyta, gdzie znajduje się wzmianka o egzekucji Chrystusa – nie jest niczym innym, jak tylko apokryficzną wstawką.

Poeta, dla którego wszystko to, co przekazywał mu redaktor, jawiło się jako odkrycie, słuchał z zainteresowaniem Michaiła Aleksandrowicza, wpatrując się w niego swoimi roztropnymi zielonymi oczami, od czasu do czasu leciutko czkając, kłął szeptem morelowy nektar.

– Nie ma ani jednej wschodniej religii – mówił Berlioz – w której dziewica nie wydałaby na świat boga. I chrześcijanie nie wymyślili nic nowego, dokładnie tak samo stwarzając swojego Jezusa, którego w samej rzeczy nigdy wśród żywych nie było. I głównie na to należało położyć nacisk...

Wysoki tenor Berlioza przetaczał się po opuszczonej alei, a im bardziej Michaił Aleksandrowicz zaszywał się w ostępach, gdzie – bez ryzyka skręcenia karku – buszować może jedynie wyjątkowo wykształcony człowiek – tym więcej i więcej ważnych i nader interesujących wiadomości zdobywał poeta. Na przykład o egipskim Ozyrysie, łaskawym bogu, synu Nieba i Ziemi, o sumeryjskim bogu Tammuzie, o Marduku, jak również o mniej znanym, ale niezwykle groźnym bogu Vitzliputzli, którego niegdyś w Meksyku nad wyraz poważali Aztekowie.

I akurat w tym momencie Michaił Aleksandrowicz, opowiadając Iwanowi o azteckich figurkach z ciasta przedstawiających Vitzlipuzli z czerwonymi gwiazdami zamiast oczu, przypomniał sobie, niestety, pewien poemat satyryczny dotyczący owego azteckiego bożka. Zamachał rękami, wykrzykując:

– Vitzliputzli! Putzli-Vitzli!
Pozabawiasz ty się nieźle,
Wszystko jest po twojej myśli!
Mój ty bożku Putzli-Vitzli!

Trzasnęło kilka gałązek. Wysoki tenor Berlioza zmienił się w donośny na tyle, że kilka wróbli wyleciało z pomiędzy gałęzi i rozmyło się w gęstym powietrzu.

– Wytęp wszystkich niegodziwców,
Bogożerców, nikczemników!

Bądź artystą, Vizliputzli!
Putzli-Vitzli! Mistrzu trików!²

„Coś takiego... coś takiego...” – pomyślał Iwan Nikołajewicz.

– Zapamiętaj, Iwanie! To Heine! Prawdziwy ateista! Heine! – otarł twarz chusteczką i dodał wyraźnie uspokojony: – Zatem wróćmy do sprawy...

– W rzeczy samej... – szepnął Bezdomny, czując, jak cierpnie mu skóra. Z niepokojem rozejrzał się dookoła.

I oto w alei pojawił się pierwszy człowiek.

Już po wszystkim, kiedy – prawdę mówiąc – było za późno, różnego rodzaju instytucje przedstawiały swoje liczne komunikaty z opisami cech charakterystycznych tegoż człowieka. Porównywanie ich musi postawić w osłupienie każdego. I tak w pierwszym z nich wyszczególniono, że człowiek był niski, zęby miał złote i kulał na prawą nogę. W drugim, że człowiek ten był wręcz ogromnej postury, koronki na zębach były z platyny, a kulał na nogę lewą. W trzecim – że ów człowiek nie miał żadnych cech szczególnych.

Trzeba przyznać, że ani jeden z tych pozał się komunikatów do niczego się nie nadawał.

Przed wszystkim: na żadną nogę opisywany nie utykał i nie był ani niski, ani ogromny, ale po prostu wysoki. Co dotyczy zębów, to z lewej strony były platynowe koronki, a z prawej złote. Nosił drogie popielate ubranie i dopasowane kolorystycznie zagraniczne półbuty. Popielaty beret zawadiacko załamywał się nad uchem, pod pachą człowiek ten trzymał laskę z czarną gałką w kształcie głowy pudła. Wyglądał na lat czterdzieści i trochę. Usta jakby przekrzy-

² Heinrich Heine: „Vitzliputzli”, zwrotki 116, 128 z poematu 151-zwrotkowego, przekł. z jęz. ros. B. Dohnalik. W Rosji w przekładzie M.L. Michaiłowa został opublikowany w 1864. H. Heine (1797–1856) jest jednym z najwybitniejszych poetów niemieckich. Rewolucjonista, demokrat, ateista. Przyjaciel Karola Marksa, z którym był spokrewniony. Hitlerowcy wpisali poetę na czarną listę. Palono na placach jego książki. Jeżeli u kogoś podczas rewizji znaleziono tom wierszy Heinego, to właściciela wysyłano do obozu. Po wojnie w szkołach NRD ów poemat był lekturą obowiązkową. Uczniowie recytowali poemat z pamięci.

wione. Gładko wygolony. Brunet. Prawe oko czarne, lewe – nie wiedzieć czemu – zielone. Brwi czarne, z tym że jedna wyżej, a druga niżej. Jednym słowem: obcokrajowiec.

Przechodząc mimo ławki, na której przesiadywali redaktor wraz z poetą, cudzoziemiec zerknął na nich z ukosa, przystanął i ni stąd, ni zowąd usiadł na sąsiedniej ławce, o dwa kroki od naszych przyjaciół.

„Niemiec” – pomyślał Berlioz.

„Anglik – pomyślał Bezdomny – i czy aby nie za gorąco mu w rękawiczkach”.

A cudzoziemiec obrzucił spojrzeniem wysokie domy otaczające z czterech stron staw, przy czym stało się jasne, że widzi to miejsce po raz pierwszy i że jest nim zainteresowany.

Zatrzymał wzrok na wysokości górnych pięter, ze słońcem, oślepiającym błyszczącym w kawałkach rozbitych szyb, na zawsze odchodzącym od Michaiła Aleksandrowicza, potem przeniósł spojrzenie w dół, gdzie szyby zaczynały przedwieczornie ciemnieć, do czegoś tam z jakiegoś powodu uśmiechnął się z politowaniem, złożył dłonie na gałce laski, a na dłoniach wsparł brodę.

– Trzeba przyznać, że ty, Iwanie – mówił Berlioz – bardzo dobrze i z satyrycznym spojrzeniem przedstawiłeś na ten przykład narodzenie Jezusa, Syna Bożego, ale sedno sprawy tkwi w tym, że jeszcze przed Jezusem rodziły się całe szeregi synów bożych, chociażby taki frygijski Attis, krótko mówiąc, żaden z nich się nie urodził, włączając w to również Jezusa, i nieistotne, żebyś w miejsce narodzin czy, powiedzmy, pokłonu trzech króli opisywał jakieś niedorzeczne pogłoski o tym narodzeniu... A z twojej opowieści to właśnie wyłazi, że on faktycznie się narodził!...

W tym momencie Bezdomny spróbował opanować nieznośną, zadreżdżającą go czkawkę i wstrzymał oddech, na skutek czego czknął jeszcze głośniejsze i z większym bólem, w tejże chwili Berlioz przerwał przemowę, cudzoziemiec nieoczekiwanie bowiem wstał i zbliżył się do pisarzy.

Ci spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Proszę mi wybaczyć – podchodząc, zagadał z cudzoziemskim akcentem, nie gubiąc znaczenia słów – że nie będąc znajomym

panów, ośmielałam się... lecz przedmiot naukowej dyskusji panów jest tak interesujący, iż...

Tu nieznajomy z szacunkiem zdjął beret, więc pisarzom nie pozostawało nic innego, jak tylko wstać i się uklonić.

„Nie, to raczej Francuz...” – pomyślał Berlioz.

„Polak...?” – pomyślał Bezdomny.

Należy bezwarunkowo dodać, że na poecie cudzoziemiec od pierwszego słowa zrobił odpychające wrażenie, a Berliozowi od razu przypadł do gustu, no może nie tyle przypadł, ile uznał go, jak by to nazwać... za osobę interesującą czy coś w tym rodzaju...

– Panowie pozwolą, że się przysiadę?... – uprzejmie poprosił cudzoziemiec i przyjaciele jakoś mimo woli rozsunęli się, a cudzoziemiec zwinnie wsunął się pomiędzy, od razu włączając się do rozmowy. – Jeżeli dobrze usłyszałem, pozwolił pan sobie powiedzieć, że Jezusa nigdy nie było – spytał cudzoziemiec, zwracając w stronę Berlioza swoje lewe, zielone oko.

– Nie, nie przesłyszał się pan – grzecznie odpowiedział Berlioz – tak właśnie się wyraziłem.

– Ach, jakież to interesujące! – wykrzyknął cudzoziemiec.

„Czego, u diabła, on tu szuka?” – pomyślał Berlioz i spochmurniał.

– A pan zgadza się z rozmówcą? – indagował nieznajomy, odwróciwszy się w prawo ku Bezdomnemu.

– Na sto procent! – potwierdził poeta, który lubił wyrażać się kwieciste i obrazowo.

– Zdumiewające! – zawołał nieproszony rozmówca, nie wiedząc czemu rozejrzał się dookoła jak złodziej i ścisząc swój niski głos, powiedział: – Proszę wybaczyć moje natręctwo, ale jeżeli dobrze zrozumiałem, panowie na dobitkę nie wierzycie w Boga? – W jego oczach pojawił się strach. I dodał: – Przysięgam, że nikomu nie powiem!

– Tak, nie wierzymy – lekkim uśmiechem kwitując przerażenie zagranicznego turysty, odpowiedział Berlioz – ale można o tym rozmawiać bez konsekwencji.

Cudzoziemiec odchylił się na oparcie ławki i pisnąwszy z ciekawości, spytał:

– Panowie, jesteście ateistami?!

– Tak, jesteśmy ateistami – uśmiechając się, odpowiedział Berlioz, a Bezdomny pomyślał rozsierdzony: „Jak to się przyssał ten zagraniczny gagatek!”.

– Ach jakie to urocze – wykrzyknął zadziwiający cudzoziemiec i kręcąc głową, wpatrywał się raz w jednego, a raz w drugiego literata.

– W naszym kraju ateizm nikogo nie dziwi – z dyplomatyczną uprzejmością wyraził się Berlioz. – Większość naszego społeczeństwa już dawno i świadomie przestała wierzyć w bajeczki o Bogu.

Wtedy cudzoziemiec odstawił następujący numer: wstał, uściśnął zdumionemu redaktorowi dłoń, wygłaszając następujące słowa:

– Pozwoli pan, że podziękuję mu z całego serca.

– Za co mu pan dziękuje? – mrugając oczami, spytał Bezdomny.

– Za niezmiernie ważną informację, która dla mnie, obywatela, jest nadzwyczaj interesującą – znacząco podnosząc palec, wyjaśnił zagraniczny dziwak.

Niezmiernie ważna informacja, w rzeczy samej, wywarła silne wrażenie na wędrowcu, bo z przerażeniem patrzył na domy, jakby miał w każdym oknie ujrzeć po jednym ateście.

„Nie, to nie Anglik” – pomyślał Berlioz. A Bezdomny pomyślał: „To bardzo interesujące, gdzie się tak nauczył mówić po rosyjsku”. I poeta znów się zachmurzył.

– Pozwólcie jednak, panowie, że spytam – ocknąwszy się z trwożnego zamyślenia, zaczął zagraniczny gość – co się stanie z dowodami na istnienie Boga, których, jak wiadomo, mamy równo pięć.

– Ach, niestety! – z ubolewaniem wyraził się Berlioz. – Żaden z tych dowodów nie ma najmniejszej wartości i ludzkość dawno odłożyła je do lamusa. Więc chyba zgodzi się pan ze mną, że w dziedzinie nauki przeprowadzenie jakiegokolwiek dowodu na istnienie Boga jest niemożliwe.

– Brawo! – zawołał cudzoziemiec. – Brawo! Pan w tym względzie z pewnością powtórzył myśl kłopotliwego, a jakże, staruszka Immanuela. I oto mamy kuriozum: on sam doszczętnie zniweczył wszystkie pięć dowodów, a potem, jakby szydząc z samego siebie, zmałstrował własnoręcznie dowód szósty!

– Dowód Kanta – z wyszukany uśmiechem zaoponował uczony redaktor – jest także nieprzekonywający. Wywołał spore zamieszanie! Przeciwno zwrócili się wszyscy panteiści! Wszyscy! Fichte. Schelling. Hegel. I nie na darmo Schiller mawia, że rozważania kantowskie, chociażby na temat moralności, mogą satysfakcjonować jedynie ludzi o umysłach niewolników, a Strauss po prostu wyśmiewał te, pożałuj, dowody, podkreślając, że obrzydliwy teizm Kanta to nic innego, jak pokoik, w którym jego architekt zameldował sobie Boga.

Berlioz przemawiał, myśląc w tym samym czasie: „Kimże on jest? I skąd tak dobrze zna rosyjski?”.

– A posłać by tego Kanta! Za takie dowody należą mu się trzy lata na Sołowkach!³ – zniechęca wypalił Iwan Nikołajewicz.

– Iwanie! – szepnął skonfundowany Berlioz.

Ale propozycja zesłania Kanta na Sołowki nie tylko nie zdziwiła cudzoziemca, ale wręcz przeciwnie, wprawiła go w absolutny zachwyt.

– Właśnie! Właśnie! – krzyknął i lewe, zielone oko wbite w Berlioza rozbłysło. – Jego miejsce jest tam! Przecież mówiłem mu wtedy przy śniadaniu: „To pan sam, profesorze, z własnej woli wykoncypował coś bez ładu i składu. Może to i mądre, ale kompletnie niezrozumiałe. Będą sobie z pana stroić żarty”.

Berlioz wytrzeszczył oczy. „Przy śniadaniu... Do Kanta! Co on bredzi?” – pomyślał.

– A – kontynuował cudzoziemiec, zwracając się do poety, niezbyt z tropu osłupieniem Berlioza – zesłanie go na Sołowki nie jest możliwe z tej prostej przyczyny, że on już chyba od stu lat przebywa w miejscowościach bardziej odległych niż Sołowki i nie ma sposobu, żeby go stamtąd wyciągnąć. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

– To żałuję! – rzucił zadziorny poeta.

– Ja też żałuję! – zgodził się nieznajomy, błyskając okiem, i kontynuował: – Ale jest takie pytanie, które nie daje mi spokoju:

³ Tak się złożyło, że w tym samym czasie martynistów, czyli członków Milczącego Nieznanego Zakonu z Leningradu, zesłano za to samo na trzy lata właśnie tam. Bułgakow dobrze o tym wiedział, ponieważ śledził losy rosyjskich wolnomularzy.

jeżeli Boga nie ma, to kto kieruje życiem człowieka i całym porządkiem rzeczy na ziemi?

– Kieruje sam człowiek – rozsierzony Bezdomny pospieszenie cisnął w twarz nieznajomemu odpowiedź na to dość niejasne pytanie.

– Przykro mi – oględnie rzecz ujmując, artykułował nieznajomy – ale do tego, żeby czymś kierować, potrzebny jest, jak by na to nie patrzeć, precyzyjny plan, na jakiś mniej więcej solidny kawał czasu. Pozwoli więc pan, że go spytam: jak to jest możliwe, aby wszystkim kierował człowiek, jeżeli jest on nie tylko pozbawiony możliwości planowania chociażby na śmiesznie krótki okres czasu, no, powiedzmy sobie... jakieś tysiąc lat, ale nawet nie może poręczyć za swoje jutro? Bo w rzeczy samej – tu nieznajomy zwrócił się do Berlioza – proszę sobie wyobrazić, że zaczyna pan rządzić sobą i innymi, powiedzmy, że zaczyna pan rozsmakowywać się w tej sytuacji, a tu ni stąd, ni zowąd okazuje się, że ma pan... kche... kche... sarkomę płuc... – I cudzoziemiec uśmiechnął się słodko, jak gdyby myśl o sarkomie płuc dostarczyła mu mnóstwo przyjemności. – Tak, sarkoma – i mrużąc oczy jak kot, powtórzył to dźwięczne słowo. – I pańskie kierowanie światem się skończyło! I niczyj inny los oprócz pana własnego nie obchodzi! Krewni zaczynają panu łąć w żywe oczy. Czując coś niedobrego, miota się pan pomiędzy uczonymi lekarzami, szarlatanami, a w końcu ląduje pan u wróżki. Właściwie to pierwsze i drugie, nie mówiąc o trzecim, jest całkowicie niedorzeczne. Pan sam wie o tym najlepiej. I wszystko kończy się tragicznie: ten, który jeszcze niedawno sądził, że czymś tam kieruje, leży sobie nieruchomo w drewnianej skrzynce, a otoczenie, wiedząc dobrze, że leżący do niczego im się nie przyda, spopieli go w piecu. A bywa znacznie gorzej! Człowiek wybierał się akurat do Kisłowodzka – tu cudzoziemiec, zmrúżywszy oczy, zerknął na Berlioza. – Zdawać by się mogło – błahostka, ale nawet to mu się nie udaje, bo nieoczekiwanie, licha wie, z jakiego powodu, poślizgnie się i wpadnie pod tramwaj! Może pan powiedzieć, że to on sam sobą tak pokierował? Nie lepiej sądzić, że pokierował nim ktoś zupełnie inny? – I w tym momencie nieznajomy dziwnie zachichotał.

Berlioz z dużym zainteresowaniem słuchał nieprzyjemnej historii o sarkomie i tramwaju, aż pojawiły się jakieś ogarniające go

lękiem wyobrażenia. „To nie jest cudzoziemiec... to nie cudzoziemiec... – myślał – to jakieś przerażające indywiduum... ale w takim razie kim ono jest?”

– Ma pan ochotę zapalić, jak widzę? – nieznajomy zwrócił się ponownie do Bezdomnego. – Jakie pan woli?

– A ma pan jakiś wybór? – posępnie spytał poeta, któremu skończyły się papierosy.

– A jakie pan woli? – powtórzył nieznajomy.

– „Naszą markę” – nienawistnie odparł Bezdomny.

Nieznajomy natychmiast wyjął z kieszeni papierošnicę i podsunął Bezdomnemu.

– „Nasza marka”...

Zarówno redaktorem, jak i poetą wstrząsnął nie tyle fakt, że w papierošnicy znalazła się akurat „Nasza marka”, ile sama papierošnica. Była kolosalnych rozmiarów, z dukatowego złota, a po otworzeniu na jej wieczku rozbłysnął ciemno-niebieskim i białym ogniem równoboczny trójkąt z drogich kamieni.

Każdemu z literatów przemknęło przez głowę co innego. Berliozowi: „Nie, to jednak cudzoziemiec!”, a Bezdomnemu: „Niech go diabli porwą... czy jak tam...”.

Poeta i właściciel papierošnicy – zapalili; niepalący Berlioz odmówił.

„Trzeba będzie zaoponować... – zdecydował Berlioz. – Najlepiej tak... Człowiek jest śmiertelny, nie sposób temu zaprzeczyć. Ale problem tkwi w tym, że...”.

Jednak nie zdążył wypowiedzieć żadnego z tych słów, bo właśnie odezwał się cudzoziemiec:

– Owszem, człowiek jest śmiertelny, ale to jeszcze pół biedy. Kiepsko natomiast wygląda fakt, że śmiertelność wyłazi niespodziewanie, oto, w czym problem! I w ogóle nie jest w stanie przewidzieć, co będzie robił dziś wieczorem.

„Jakieś niedorzeczne ujęcie sprawy...” – pomyślał Berlioz i zaprzeczył:

– No... teraz to już przesada. Dzisiejszy wieczór, mniej lub bardziej dokładnie, jest mi znany. Chyba że na Bronnej spadnie mi cegła na głowę...

– Cegła ni z tego, ni z owego – pouczająco przerwał nieznajomy – nigdy nikomu nie spada na głowę. Szczególnie panu, proszę mi wierzyć, cegła nie zagraża. Pan umrze inną śmiercią.

– A może pan, mianowicie, wie jaką? – z oczywistą ironią Berlioz zażądał wyjaśnień, dając się wciągnąć w tę autentycznie bez sensowną rozmowę. – I powie mi pan?

– Z chęcią – odezwał się nieznajomy. Zmierzył Berlioza takim wzrokiem, jakby zabierał się do szycia garnituru, przez zęby wymamrotał coś w rodzaju: „Raz, dwa... Merkury w drugim domu... księżyc zszedł... sześć – nieszczęście... Wieczór – siedem...” – i głośno i radośnie oznajmił: – Głowę panu odetną!

Bezdomny wściekle wywalił oczy na pełnego nonszalancji nieznajomego, a Berlioz spytał z kwaśnym grymasem:

– A któż to robi? Wrogowie? Interwenci?

– Nie – odparł rozmówca – rosyjska kobieta, komsomołka.

– Hm... – wymamrotał rozdrażniony żartem nieznajomego Berlioz – ale to, pan wybaczy, mało prawdopodobne.

– To ja proszę o wybaczenie – odparł cudzoziemiec – ale tak się stanie. Jeszcze tylko chciałbym spytać, co pan będzie robił dziś wieczorem, jeżeli nie jest to tajemnica.

– To nie jest tajemnica. Zaraz wpadnę do siebie, na Sadową, a potem o dziesiątej wieczorem w Massolicie⁴ będę przewodniczył zebraniu.

– Nie, do tego w żaden sposób dojść nie może – stanowczo zaprzeczył cudzoziemiec.

– A bo co?!

– A bo to... – odparł cudzoziemiec i zmrużywszy oczy, popatrzył w niebo, gdzie bezszelestnie, w przeczuciu wieczornego chłodu, zataczały kręgi czarne ptaki – że Annuszka już kupiła olej słonecznikowy, i nie tylko kupiła, ale nawet rozlała. Właśnie dlatego zebranie się nie odbędzie.

I tu, co jest w pełni zrozumiałe, pod lipami zapanowało milczenie.

– Proszę wybaczyć – po pewnym czasie odezwał się Berlioz, spoglądając na klepiącego bzdury cudzoziemca. – Co ma do tego olej słonecznikowy... i jakaś Annuszka?

⁴ Czyli Berlioz będzie wieczorem w związku Masońskich Literatów.

– Olej słonecznikowy ma do tego to, że się spytam... – przemówił nagle Bezdomny, najwyraźniej decydując się wypowiedzieć wojnę nieproszonemu rozmówcy – czy nie bywaliście kiedyś tam, obywatelu, w lecznicy dla psychicznie chorych?

– Iwan!... – zawołał cicho Michaił Aleksandrowicz.

Ale cudzoziemiec nic a nic nie był obrażony, i na dodatek roześmiał się najweselej jak tylko można.

– Bywałem, bywałem, i to nie raz! – wykrzyczał ze śmiechem, ale nieschodzące z poety oko już nie śmiało się. – Gdzie to ja nie bywałem! Szkoda tylko, że nie było mi dane spytać profesora, co to takiego schizofrenia. Więc niech go już sam pan zapyta, Iwanie Nikołajewiczu.

– Skąd pan wie, jak się nazywam?

– Litości, Iwanie Nikołajewiczu... a kto pana nie zna? – i tu cudzoziemiec wydobyl z kieszeni wczorajszy numer „Litieraturnoj Gaziety”. Iwan Nikołajewicz ujrzał na pierwszej stronie swoją podobiznę, a pod nią własne wiersze. To, co jeszcze wczoraj cieszyło go jako dowód sławy i popularności, tym razem nie uradowało poety w ogóle.

– Proszę wybaczyć – powiedział z ponurym obliczem. – Czy mógłby pan chwilę poczekać? Chciałem zamienić z kolegą dwa słowa.

– O, z prawdziwym zadowoleniem! – zawołał nieznajomy. – Pod lipami jest tak przyjemnie, a ja, w dodatku, nigdzie się nie spieszę.

– I tak to wygląda, Misza – szeptał poeta, odciągając Berlioza na bok – on nie jest żadnym turystą, to szpieg. To rosyjski emigrant, któremu udało się do nas przedostać. Spytaj go o dokumenty, zanim przepadnie...

– Tak myślisz? – szepnął z niepokojem Berlioz, a przez głowę przeleciało mu: „A jeżeli ma rację...”.

– Lepiej mi uwierz – wychrypiał mu do ucha poeta. – Rżnie głupa, żeby wyciągnąć co nieco. Słyszałeś, jak on mówi po rosyjsku – poeta zachłystywał się słowami i zerkał w stronę nieznajomego, pilnując, żeby nie uciekł – chodź, zatrzymajmy go, zanim da dyla...

I poeta pociągnął Berlioza za rękaw w stronę ławki.

Nieznajomy już nie siedział, ale stał tuż obok, trzymając w ręku jakąś książeczkę w ciemno szarej okładce, kopertę z wysokiej klasy papieru oraz wizytówkę.

– Wybaczcie panowie, że w zawierusze waszego sporu zapomniałem się przedstawić. Oto moja wizytówka, paszport i zaproszenie do Moskwy w celu konsultacji – dobitnie wyraził się nieznajomy, świdrując wzrokiem obu literatów.

Skonfundowani literaci zwiesili głowy: „Do diabła, słyszał wszystko...” – pomyślał Berlioz i uprzejmym gestem pokazał, że przedstawione dokumenty niewiele ich obchodzą. Kiedy cudzoziemiec podsuwał je redaktorowi, poeta zdążył dostrzec na wizytówce wydrukowane zagranicznymi literami słowo „profesor” i pierwszą literę nazwiska z podwójnych „V”, czyli – „W”.

– Bardzo mam miło – równocześnie wymamrotał speszony redaktor, a cudzoziemiec schował dokumenty do kieszeni.

W ten sposób wzajemne stosunki zostały odbudowane i wszyscy trzej ponownie usiedli na ławce.

– Więc pan został zaproszony do Moskwy, profesorze, w charakterze konsultanta? – spytał Berlioz.

– Tak, konsultanta.

– Jest pan Niemcem? – zainteresował się Bezdomny.

– Ja? – profesor odpowiedział pytaniem i zamyślił się. – Tak, pewnie jestem Niemcem – powiedział.

– Znakomicie mówi pan po rosyjsku – zauważył Bezdomny.

– O... w ogóle jestem poliglotą i znam sporo języków – odpowiedział profesor.

– A jaką ma pan specjalizację? – spytał żądny informacji Berlioz.

– Jestem specjalistą od magii.

„A to dopiero!” – przeleciało przez głowę Michaiła Aleksandrowicza.

– I... z powodu tej specjalizacji zaproszono pana do nas – z lekka zająknąwszy się, wyartykułował redaktor.

– Tak, z jej powodu – potwierdził profesor i wyjaśnił: – W waszej Bibliotece Narodowej odnaleziono autentyczne manuskrypty Gerberta z Aurillac – czarnoksiężnika z dziesiątego wieku. Zaistniała taka potrzeba, żebym się im przyjrzał. Poproszono,

aby zbadać ich autentyczność, mnie – jedyne go specjalistę na świecie.

– Ach tak! Jest pan historykiem? – z ogromną ulgą i z całym szacunkiem spytał Berlioz.

– Jestem historykiem – potwierdził uczony i dodał ni z gruszki, ni z pietruszki: – Dziś wieczorem na Patriarszych będzie miała miejsce, zaiste, frapująca historia!

I znów redaktor wraz z poetą osłupieli, profesor przywołał ich bliżej, a gdy nachylili się ku niemu, wyszeptał:

– Miejcie na względzie to, że Jezus naprawdę istniał.

– Widzi pan, panie profesorze – z w wymuszonym uśmiechem zaczął Berlioz – szanujemy oczywiście pańską ogromną wiedzę, ale w tej kwestii mamy całkowicie inny punkt widzenia.

– Tu nie trzeba żadnych punktów widzenia – odparł niesamowity profesor. – On po prostu istniał i koniec.

– Ale potrzebne są jakieś dowody... – zaczął Berlioz.

– Żadne dowody nie są potrzebne – wyraził się profesor i zaczął mówić cichym, ale stanowczym głosem, a jego cudzoziemski akcent ulotnił się nie wiedzieć czemu: – Wszystko jest proste: w białej pelerynie...

ROZDZIAŁ 2

PONCJUSZ PIŁAT

W białej pelerynie z purpurowym podszyciem, zamaszystym chodem kawalerzysty, wczesnym rankiem, czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadę pomiędzy dwoma skrzydłami pałacu Heroda Wielkiego wkroczył namiestnik Judei Poncjusz Piłat.

Zdecydowanie najbardziej na świecie, namiestnik nie cierpiał aromatu różanego olejku, a teraz akurat wszystko dookoła wskazywało na to, że dzień będzie nieprzyjemny jak prześladowający go od świtu zapach. Namiestnik miał niejasne odczucie, że różaną woń w ogrodzie roztaczają i palmy i cyprysy, że z cuchnącego zapachu skórzanego oporządzenia i potu konwoju wyłaniał się przeklęty różany odór. Z oficyn na tyłach pałacu, gdzie kwaterowała przybyła wraz z namiestnikiem do Jerozolimy pierwsza kohorta Dwunastego Legionu Miotaczy Gromów, poprzez górny taras ogrodu, pod kolumnadę napływał dymek – goryczkowaty dym, dający znak, że parzykasze w centuriach rozpoczęli przygotowywanie gorących posiłków – i mieszał się z ciężkim różanym fetorem.

„O bogowie, bogowie, za co mnie karzecie? Tak, nie ma wątpliwości, to ona, znów ona, niepokonana, straszna choroba migrena, przy której boli pół głowy... nie ma na nią leków, nie ma żadnego ratunku... spróbuję nie ruszać głową”.

Na mozaikowej posadzce przy fontannie był już przygotowany fotel i namiestnik, nie patrząc na nikogo, usiadł w nim, wyciągając w bok rękę. Sekretarz z szacunkiem położył na jego dłoni kawałek pergaminu. Nie będąc w stanie powstrzymać bolesnych grymasów, namiestnik z ukosa pobieżnie przejrzał pisaninę, zwrócił sekretarzowi pergamin i z wysiłkiem przemówił.

– Podśądny z Galilei? Przesłaliście sprawę do tetrarchy?

– Tak, hegemonie – odparł sekretarz.

– A on co?

– Odmówił zakończenia tej sprawy i wydany przez Sanhedryn wyrok śmierci przesłał do twojego zatwierdzenia, hegemonie – wyjaśnił sekretarz.

Namiestnik, czując drżenie policzka, nakazał cicho:

– Doprowadzić oskarżonego.

W tym momencie z górnego podestu ogrodu pod kolumny balkonu dwóch legionistów wprowadziło, ustawiając przed fotelem namiestnika, dwudziestosiedmioletniego człowieka. Człowiek ów był odziany w staruteńki, poszarpany, błękitny chiton. Głowę miał owiniętą białym zawojem z przeciągniętym dookoła rzemykiem, a z tyłu związane ręce. Pod jego lewym okiem widoczny był wielki siniak, a w kącie ust – zdarta skóra z zakrzepłą krwią. Doprowadzony z onieśmiałą ciekawością patrzył na hegemoną.

Ten pomilczał chwilę, po czym cicho spytał po aramejsku:

– Więc to ty namawiałeś lud do zburzenia jerozolimskiej świątyni?

Namiestnik siedział jak skamieniały i tylko jego usta poruszały się ledwo, ledwo podczas wypowiedzania słów. Namiestnik siedział skamieniały, ponieważ bał się poruszyć głową, płonąca piekielnym bólem.

Człowiek ze związanymi rękami pochylił się nieco ku przodowi i zaczął mówić:

– Dobry człowieku. Uwierz mi...

A namiestnik, nadal nie drgnąwszy, i ani na jotę nie podnosząc głosu, z miejsca mu przerwał:

– Czy to mnie nazwałeś dobrym człowiekiem? Popelniasz błąd. Wszyscy w Jerozolimie szepczą o mnie, że jestem bezwzględny potworem, i to jest bezwzględna prawda. – Po czym równie beznamiętnie dodał: – Centurion Szczurobójca, do mnie!

Wszyscy odnieśli wrażenie, że na balkonie pociemniało, kiedy centurion Pierwszej Centurii Marek, zwany także Szczurobójcą, stanął przed namiestnikiem. Szczurobójca był o głowę wyższy od najwyższego żołnierza legionu i tak szeroki w barach, że przesłonił niezbyt jeszcze wysoko wznoszące się słońce.

Namiestnik zwrócił się centuriona po łacinie:

– Przestępca nazwał mnie „dobrym człowiekiem”. Wyprowadź go stąd na chwilę i wyjaśnij mu, jak należy ze mną rozmawiać. Tylko go nie okalecz.

Wszyscy oprócz znieruchomiałego namiestnika odprowadzali wzrokiem Marka Szczurobójcę, który skinął ręką na aresztanta,

każąc mu iść za sobą. Szczurobójcę, gdziekolwiek by się nie pojawił, zawsze odprowadzano spojrzzeniami z powodu jego wzrostu. Ci, którzy widzieli go po raz pierwszy, przyglądali się potwornie zeszpeconej twarzy: nos Szczurobójcy dawno temu został straszakany uderzeniem germańskiej maczugi.

Ciężkie buciory Marka zadudniły po mozaice, związany oddalił się wraz z nim bezgłośnie, pod kolumnadą nastąpiła kompletna cisza; słychać było, jak gruchają gołębie na ogrodowym podeście koło balkonu, i jeszcze to, jak woda w fontannie śpiewa swoją przemyślnie przyjemną pieśń.

Nieoczekiwanie namiestnik zapragnął wstać, podstawić skroń pod strumień wody i znieruchomieć. Wiedział jednak, że to i tak nic mu nie pomoże.

Wyprowadziwszy aresztanta spod kolumnady do ogrodu, Szczurobójca wziął z rąk legionisty, stojącego u stóp posągu z brązu, bicz i zamachnąwszy się niezbyt silnie, zdzielił aresztowanego po plecach. Ruch centuriona był lekki i niedbały, ale związany w mgnieniu oka gruchnął o ziemię, jakby ktoś podciął mu nogi, zadławił się powietrzem, krew odpłynęła mu z twarzy, a oczy zionęły pustką.

Marek lewą ręką, lekko, niczym pusty wór poderwał w powietrze leżącego, postawił go na nogi, a potem zagadał przez nos, źle wymawiając aramejskie słowa:

– Namiestnika Rzymu nazywać należy „hegemonem”. Innych słów nie używać. I stać z szacunkiem. Zrozumiałeś czy mam przyłożyć?

Aresztant zatoczył się, ale opanowawszy słabość, westchnął głęboko, bladość znikła, i schrypniętym głosem odpowiedział:

– Zrozumiałem. Nie trzeba bić.

Po chwili znów stanął przed namiestnikiem.

Rozszedł się gasnący, zbolęły głos:

– Imię?

– Moje? – pośpiesznie spytał aresztant, całym sobą wyrażając gotowość odpowiadania zwięźle, szybko, aby nie dać już więcej powodu do gniewu.

Namiestnik odparł niezbyt głośno:

– Swoje znam. Nie rób z siebie większego głupca, niż jesteś. Twoje.

- Jezua – momentalnie odparł aresztant.
- Jakiś przydomek?
- Ha-Nocri.
- Miejsce urodzenia?
- Miasto Gamala – odparł aresztowany i pokazał głową kierunek, gdzie to jest i jak daleko i że po prawej stronie od niego, na północy, znajduje się miasto Gamala.
- Z kogo ty jesteś?
- Dokładnie nie wiem – żywo odparł aresztant – nie pamiętam moich rodziców. Mówili, że mój ojciec był Syryjczykiem...
- A mieszkasz gdzieś na stałe?
- Nie mam stałego miejsca zamieszkania – wstydząc się, odparł aresztant: – Ot, wędruję sobie z miasta do miasta.
- To można by nazwać zwieżle, jednym słowem: łążega – wyraził się namiestnik i spytał: – Jakaś rodzina, krewni?
- Nie mam nikogo. Jestem sam na świecie.
- Czytasz? Pisziesz?
- Tak.
- Znasz jakiś inny język oprócz aramejskiego?
- Znam. Grecki.

Opuchnięta powieka uniosła się, zaciągnięte mgiełką cierpienia oko wbiło się w aresztanta. Drugie pozostało zamknięte.

Piłat zaczął mówić po grecku:

– A więc to ty miałeś zamiar zburzyć świątynię, nawołując do tego lud?

Aresztant ożywił się ponownie, w jego oczach nie było już strachu, i również odezwał się po grecku:

– Ja, dobr... – zaczął i w tym momencie na mgnienie oka zawałdął nim strach, w ułamku sekundy pojął, że prawie się przejęczył. – Ja, hegemonie, nigdy w życiu nie miałem zamiaru burzyć świątyni i nigdy nikogo nie namawiałem do tak bezmyślnego postępu.

Zdziwienie pojawiło się na twarzy sekretarza, który zgarbiony przy niskim stole spisywał zeznania. Uniósł głowę, i niezwłocznie pochylił ją nad pergaminem.

– Niezliczona ilość najróżniejszych ludzi napływa do tego miasta w święta. Bywają wśród nich magowie, astrologowie, wróż-

bici i mordercy – monotonnie brzmiał namiestnik – ale trafiają się i kłamcy. Ty na przykład jesteś kłamcą. Zapisano jasno: „namawiał do zburzenia świątyni”. Tak zeznają świadkowie.

– Ci dobrzy ludzie – zaczął aresztant, pospiesznie dodając: – hegemonie – i ciągnął dalej: – niczego się nie nauczyli i wszystko, co mówiłem, poplątali. A tak w ogóle zaczynam się obawiać, że to całe zamieszanie będzie się ciągnąć jeszcze przez bardzo długi czas. A to dlatego, że on zapisuje nie to, co mówię.

Zapadło milczenie. Teraz już dwoje pełnych bólu oczu patrzyło z trudem na aresztanta.

– Powtarzam po raz ostatni: przestań robić z siebie idiotę, ty zbój! jeden ty – obwieścił Piłat miękko i monotonnie – z tego co mówiłeś, zapisano niewiele, ale to, co zapisano, wystarczy, żeby cię powiesić.

– Nie, nie, hegemonie! – w żarliwym pragnieniu, chcąc przekonać rozmówcę, aresztant mówił: – Chodzi, chodzi sobie za mną taki jeden z koźlim pergaminem i zapisuje coś nieprzerwanie. Ale pewnego razu spojrzałem na ten pergamin i ogarnęło mnie przerażenie. Dosłownie nic takiego, co było tam wypisane, nie powiedziałem. Błagałem go: Spal na litość boską ten swój pergamin! Ale on mi go wyrwał z rąk i uciekł.

– A któż to taki? – z odrazą spytał Piłat, dotykając skroni.

– Mateusz Lewi – ochoczo objaśnił aresztant – był poborcą podatkowym i spotkałem go po raz pierwszy na drodze do Betfage, w jakimś przydrożnym zakątku figowego sadu, gdzie zacząłem z nim rozmawiać. Na początku odniósł się do mnie nieprzyjaźnie, a nawet obelżywie, to znaczy był przekonany, że mnie obraził, nazywając psem – tu aresztant uśmiechnął się – osobiście nie widzę nic durnego w tym zwierzęciu, żeby obrażać się na to słowo...

Sekretarz przestał zapisywać i kątem oka zaskoczony spojrzał – ale nie na aresztanta, tylko na namiestnika.

– Jednak posłuchawszy mnie, złagodniał – kontynuował Jezua – w końcu rzucił pieniądze na drogę, mówiąc, że będziemy razem wędrować...

Piłat uśmiechnął się jedną stroną twarzy, wyszczerzając po zółkle zęby, i przemówił, zwracając się całym tułowiem w stronę sekretarza:

– O miasto Jerozolimo! Czego tylko nie można w nim usłyszeć! Poborca podatkowy, patrzcie, ludzie, wyrzuca pieniądze na drogę!

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, sekretarz uznał za słuszne uśmiechnąć się tak jak Płat.

– Powiedział, że od tej chwili nienawidzi pieniędzy – Jezua wyjaśnił dziwne zachowanie Mateusza Lewiego, dodając: – Od tej pory stał się moim towarzyszem podróży.

Cały czas szczerząc zęby, namiestnik popatrzył na aresztanta, potem na słońce, które nieubłagane wznosiło się coraz wyżej i wyżej nad konnymi posągami hipodromu, który rozciągał się gdzieś z prawej strony doliny, i nieoczekiwanie w jakiejś koszmarniej męcie pomyślał o tym, że łatwiej byłoby wygnać z balkonu tego dziwnego rozbójnika, rzucając tylko dwa słowa: „Powiesić go!”. Przegnać konwój, uciec spod kolumnady do wnętrza pałacu, polecieć, by zaciemniono okna komnaty, zwalić się na łóżko, zażądać zimnej wody, żalosnym głosem przywołać psa Bangę⁵ i poskarżyć się przed nim na migrenę... A myśl o truciznie znienacka kusząco błysnęła w obolałej głowie namiestnika.

Patrzył na aresztanta mętными oczami i przez jakiś czas milczał, w męczarniach próbując sobie przypomnieć, dlaczego na tym bezlitosnym porannym jerozolimskim skwarze stoi przed nim aresztant o twarzy zeszpeconej biciem i jakie jeszcze nikomu niepotrzebne pytania będzie tu musiał zadawać.

– Mateusz Lewi? – ochryplym głosem spytał chory i zamknął oczy.

– Tak, Mateusz Lewi – doniósł się do niego wysoki, wykończający go głos.

– A więc co tam takiego mówiłeś na temat świątyni tłumowi na bazarze?

Głos odpowiadającego zdawał się nakłuwać skroń Płata, był niewypowiedzianie męczący, ten głos mówił:

– Mówiłem, hegemonie, o tym, że runie świątynia starej wiary i powstanie nowa świątynia prawdy. Wyraziłem się tak, żeby było zrozumiałe.

⁵ Swoją drugą żonę Lubow Biełozierską, miłośniczkę psów, nazywał: Banga.

– Czemu więc, włóczęgo, podburzałeś lud na bazarze, opowiadając o prawdzie, o której ty sam nie masz pojęcia? Co jest prawdą?

A wtedy namiestnik pomyślał: „O bogowie moi! Pytam go o takie rzeczy, o które pytać nie powinienem, bo nie są potrzebne do osądzenia... Mój umysł nie chce mnie więcej słuchać...” i znów przywidział mu się puchar ciemnej cieczy. „Trucizny chcę, trucizny!”.

I ponownie usłyszał głos:

– Prawdę przede wszystkim jest, że boli cię głowa, i to na tyle bardzo boli, że małodusznie myślisz o śmierci. Nie tylko nie starcza ci sił, by ze mną mówić, ale trudno ci nawet na mnie pa-trzeć. Mimo woli staję się teraz twoim oprawcą, co mnie zasmuca. Nie możesz nawet myśleć o czymkolwiek i tylko marzysz o tym, aby przyszedł twój pies, zapewne jedyne stworzenie, do którego jesteś przywiązany. Ale twoje męczarnie zaraz się skończą, ból głowy ustąpi.

Sekretarz wytrzeszczył oczy na aresztanta, przerywając pisanie w pół słowa.

Piłat podniósł na aresztanta udręczony wzrok i zobaczył, że słońce stoi już dość wysoko nad hipodromem, że promień słońca wcisnął się pod kolumnadę, że podpełza ku znoszonym sandałom Jezui i że ten stara się uchylać przed słońcem.

Wtedy to namiestnik wstał z fotela, ścisnął dłońmi głowę, a na jego wygolonej żółtawej twarzy pojawił się lęk. Piliat natychmiast opanował go wysiłkiem woli i ponownie opadł na fotel.

Aresztant tymczasem ciągnął dalej swoją przemowę. Sekretarz niczego jednak już nie notował, tylko wyciągnął szyję niczym gęś, starając się nie uронić ani słowa.

– I oto już wszystko się skończyło – mówił aresztowany, życzliwie spoglądając na Piliata – a ja, po prostu, zwyczajnie cieszę się z tego. Radziłbym ci, hegemonie, abyś na czas jakiś zostawił pałac i pospacerował sobie gdziekolwiek po okolicy, chociażby ogrodami Eleońskiej Góry. Burza nadciągnie... – aresztant odwrócił się i popatrzył zmrużonymi oczami w słońce – później, gdzieś pod wieczór. Przechadzka przyniosłaby dużą ulgę, a ja chętnie ci potowarzyszę. Przyszło mi do głowy kilka nowych myśli, które, jak

sądzę, mogłyby ci się wydawać interesujące, i z przyjemnością bym się nimi z tobą podzielił, tym bardziej że sprawiasz na mnie wrażenie bardzo mądrego człowieka.

Sekretarz śmiertelnie pobladł i upuścił zwitek pergaminu na posadzkę.

– Szkoda tylko – ciągnął związany i nikt mu nie przerwał – że jesteś zbyt zamknięty w sobie i zupełnie straciłeś wiarę w ludzi. Przecież nie można, przyznaj, przelewać wszystkich swoich uczuć na psa. Smutne jest twoje życie, hegemonie. – I tu mówiący pozwolił sobie na uśmiech.

Sekretarz myślał teraz jedynie o tym: wierzyć własnym uszom czy nie wierzyć. Musiał im wierzyć. Usiłował zatem wyobrazić sobie, jaką też wymyślną formę przybierze gniew porywczego namiestnika wobec tej niesłychanej bezczelności aresztanta. Ale tego sekretarz przedstawić sobie nie był w stanie, chociaż całkiem dobrze znał namiestnika.

Wtedy rozległ się zdarty, chrypliwy głos hegemonu, mówiącego po łacinie:

– Rozwiążcie mu ręce.

Jeden z konwojujących legionistów stuknął kopią o posadzkę, przekazał ją stojącemu obok, podszedł do aresztanta i rozwiązał sznury. Sekretarz podniósł zwitek pergaminu, postanawiając, że na razie nie będzie niczego zapisywać i niczemu się dziwić.

– Przyznaj się – cicho po grecku spytał Piłat – jesteś wielkim lekarzem.

– Nie, hegemonie, nie jestem lekarzem – odparł aresztant, z ogromną przyjemnością rozcierając purpurowy i nabrzmiąły od ucisku przegub dłoni.

Surowo i spode łba Piłat świdrował aresztanta. A w oczach namiestnika, które nie były już mętne, pojawiły się znane wszystkim iskry.

– Nie pytałem cię o to – powiedział Piłat – ale być może znasz również łacinę?

– Tak, znam – odparł aresztowany.

Rumieniec ukazał się na pożółkłych policzkach Piłata. Spytał po łacinie:

– Skąd wiedziałeś, że chciałem zawołać psa?

– To bardzo proste – odparł po łacinie aresztowany – wodziłeś dłonią w powietrzu – i powtarzając gest Piłata, kontynuował: – tak jakbyś chciał go pogłaskać, i wargi...

– Tak – powiedział Piłat.

Zapadło milczenie, a potem Piłat spytał po grecku:

– Jesteś więc lekarzem?

– Nie, nie – szybko odparł aresztant – uwierz mi, nie jestem lekarzem.

– No dobrze. Jeżeli chcesz utrzymać to w tajemnicy, trzymaj. To nie ma żadnego związku ze sprawą. Zatem przyznajesz, że nie nawoływałeś do zburzenia świątyni... do podpalenia lub w jakikolwiek inny sposób do zniszczenia jej?

– Hegemonie, powtarzam, nikogo nie wzywałem do podobnych działań. Czy wyglądam na człowieka upośledzonego umysłowo?

– O tak, nie wyglądasz na człowieka upośledzonego umysłowo – cicho odparł namiestnik i uśmiechnął się jakimś strasznym uśmiechem – więc przysięgnij, że nic takiego się nie zdarzyło.

– Na co chcesz, żebym przysięgł? – spytał, ożywiwszy się, rozwiązany.

– No, chociażby na własne życie – odpowiedział namiestnik – najwyższa pora, żebyś na nie przysięgł, bo ono wisi na włosku, wiedz o tym!

– Nie myślisz chyba, że sam zawiesiłeś je na włosku, hegemonie? – spytał aresztant. – Jeżeli tak, to bardzo się mylisz.

Piłat wzdrygnął się i rzucił przez zęby:

– Mogę przeciąć ten włos.

– I tu też się mylisz – z radosnym uśmiechem, zasłaniając się dłonią przed słońcem, obwieścił aresztant – zgodzisz się chyba, że przeciąć ten włos może tylko ten, kto je tam zawiesił?

– Tak, tak – uśmiechając się, odparł Piłat – teraz już nie mam wątpliwości, że próżniacze obiboki z Jerozolimy łączyły za tobą krok w krok. Nie wiem, kto uczył cię przemawiać, ale język masz nie od parady. A przy okazji, powiedz mi: czy to prawda, że wjechałeś do Jerozolimy przez Suzyjską Bramę wierzchem na ośle, prowadzony przez tłumy gawiedzi wznoszące powitalne okrzyki, jakbyś był prorokiem? – i tu namiestnik wskazał na zwój pergaminu.

Aresztant ze zdumieniem popatrzył na namiestnika.

– Nie mam żadnego osła, hegemonie – odparł. – Wszedłem do Jerozolimy, zgadza się, dokładnie przez Suzyjską Bramę, ale przyszedłem pieszo, a prowadził mnie tylko Mateusz Lewi. I nikt niczego nie krzyczał, bo wtedy nikt mnie w Jerozolimie nie znał.

– A nie znasz przypadkiem takich – kontynuował, Piłat nie spuszczać z oczu aresztanta – jak niejaki Dismos albo drugi – Gestas, a może trzeci – Bar Rabban?

– Nie znam tych dobrych ludzi – odpowiedział aresztowany.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– To powiedz mi teraz: czemu przez cały czas używasz słów „dobrzy ludzie”? Wszystkich tak nazywasz czy co?

– Wszystkich – odpowiedział aresztant. – Na świecie nie ma złych ludzi.

– Pierwszy raz słyszę o czymś takim – powiedział Piłat z uśmiechem – ale być może zbyt mało znam życie! Dalej możesz już nie zapisywać – zwrócił się do sekretarza, chociaż ten i tak nic nie zapisywał, i kontynuował rozmowę z aresztantem: – Czy przeczytałeś o tym w którejś z tych tam ksiąg greckich?

– Nie, sam do tego doszedłem.

– I tego nauczasz?

– Tak.

– A taki na przykład centurion Marek, którego nazywają Szczurobójcą, także jest dobry?

– Tak – odparł aresztant – tylko że jest nieszczęśliwym człowiekiem. Od czasu, kiedy dobrzy ludzie go okaleczyli, stał się okrutny i nieczuły. Dobrze byłoby wiedzieć, kto go tak okaleczył.

– Z chęcią udzielę ci informacji o tym – odezwał się Piłat – ponieważ byłem świadkiem. Dobrzy ludzie rzucili się na niego niczym psy na niedźwiedzia. Germanie wpili się w jego kark, ręce i nogi. Manipuł piechoty wpadł w kocioł i gdyby nie to, że turma kawalerii, którą dowodziłem, przedarła się z flanki, nie miałbyś okazji, filozofie, do wymiany zdań ze Szczurobójcą. To było w czasie bitwy pod Idistawiso, w Dolinie Dziewic.

– Gdyby tak z nim porozmawiać – zamyśliwszy się, powiedział aresztant – wierzę, że szybko by się zmienił.

– Sądzę – odparł Piłat – że legatowi legionu nie byłby do śmiechu, gdybyś wpadł na pomysł rozmowy z którymś z jego oficerów czy żołnierzy. Zresztą nie dojdzie do tego, ku ogólnemu zadowoleniu, a pierwszy, kto się o to zatroszczy, będę ja.

W tym samym czasie pod kolumnadę wleciała ni stąd, ni zowąd jaskółka, zatoczyła krąg pod złotym pułapem, obniżywszy lot, nieomal musnęła ostrym skrzydłem oblicze spiżowego posągu i skryła się za kapitelem kolumny. Być może przyszło jej do głowy, żeby tam właśnie uwić gniazdo.

To właśnie podczas jej lotu w lekkiej już i nieomal rozświetlonej głowie namiestnika ułożyła się właściwa formuła. Oto, czego dotyczyła: hegemon rozpatrzył sprawę wędrownego filozofa Jezui o przezwisku Ha-Nocri i cech przestępstwa w niej nie znalazł. W szczególności nie znalazł nawet najmniejszego związku pomiędzy działalnością Jezui a rozruchami, które niedawno przeszły przez Jerozolimę. Wędrowny filozof okazał się upośledzony umysłowo, w związku z czym namiestnik nie zatwierdza wyroku śmierci wydanego na Ha-Nocri przez Mały Sanhedryn. Ale przez wzgląd na to, że zarówno obłąkane, jak i utopijne wywody Ha-Nocri mogą być przyczyną zamieszek w Jerozolimie, namiestnik wydała Jezucę z miasta i poddaje go karze więzienia w Caesarea Stratonica nad Morzem Śródziemnym, to znaczy tam, gdzie znajduje się rezydencja namiestnika.

Pozostało jedynie podyktować powyższe sekretarzowi.

Skrzydła jaskółki zafurkotały tuż nad samą głową hegemoną, ptak śmignął ponad czaszą fontanny i odleciał na wolność. Namiestnik podniósł wzrok i ujrzał obok aresztanta gorejący słup pyłu.

– To wszystko o nim? – spytał sekretarza.

– Niestety, przykro mi – nieoczekiwanie odparł sekretarz i wręczył Piłatowi drugi kawałek pergaminu.

– A cóż to takiego? – spytał Piłat, marszcząc brwi.

Przeczytawszy podany pergamin, jego twarz zmieniła się nie do poznania. Czy to pociemniała krew napłynęła do szyi i twarzy, czy też stało się coś innego, dość, że skóra na twarzy utraciła żółtawy odcień i jakby zrudziała, a z kolei oczy jakby zapadły się w głąb.

I znów wszystkiemu winna była krew, która uderzając do głowy, zaczęła łomotać w skroniach namiestnika, powodując dziwne złudzenia optyczne. Tak, przywidziało mu się, że głowa aresztanta odpłynęła sobie nie wiedzieć dokąd, a na jej miejscu pojawiła się inna. Na tej właśnie łysiej głowie rozsiadł się wieniec z rzadko poutykanymi złotymi listkami; na jej czole tkwił owalny wrzód, wyżarta wokół skóra wysmarowana była jakąś maścią. A dolna warga zapadniętych bezzębnych ust wisiała odwinęta kapryśnie. Piłatowi wydawało się, że znikły gdzieś różowe kolumny balkonu i dalekie dachy Jerozolimy w dole za ogrodami, że wszystko dookoła pograżyło się w gęstej zieleni ogrodów Kaprei. I ze słuchem również stało się coś dziwnego – jakby gdzieś w dali cicho, ale złowroźnie zagrały trąby i dobiegł wyraźny nosowy głos znacząco cedzący słowa: „Ustawa o obrazie majestatu”...

Myśli poniosły krótkie bez związku chaotyczne indagacje: „Zginął!”, a potem: „Zginęliśmy!”. Ale błysnęła też wśród nich jakaś zupełnie niedorzeczna myśl, o jakiejś tam nieśmiertelności, przy czym ta nieśmiertelność nie wiedzieć czemu wywoływała niewyobrażalną tęsknotę.

Piłat zebrał się w sobie, przegnał widziadło, powrócił wzrokiem na balkon i ponownie ujrzał przed sobą oczy aresztanta.

– Słuchaj, Ha-Nocri – odezwał się namiestnik, spoglądając na Jezua jakoś dziwnie: twarz miał groźną, ale oczy były pełne lęku. – Czy kiedykolwiek mówiłeś cokolwiek o wielkim Cezarze? Odpowiadaj! Mówiłeś?... Czy... nie... mówiłeś? – Słowo „nie” przeciągnął trochę bardziej, niż miałby uczynić to w sądzie, i posłał Jezui spojrzeniem jakąś myśl, którą chciał coś podsunąć aresztantowi.

– Prawdę mówić jest łatwo i przyjemnie – zauważył Jezua.

– Nie musisz wiedzieć... – odezwał się Piłat głosem pełnym stłumionego gniewu – czy przyjemnie ci, czy nie jest przyjemnie mówić prawdę. Będziesz musiał ją powiedzieć. Mów. Rozważ każde słowo, jeżeli nie chcesz śmierci nie tylko nieuniknionej, ale też męczeńskiej.

Nikt nie wiedział, co działo się z namiestnikiem Judei, ale pozwolił sobie na to, by podnieść rękę, sprawiając wrażenie, że osłania się przed słonecznymi promieniami, a spod tej ręki jak zza

tarczy – przesłał aresztantowi coś w rodzaju porozumiewawczego spojrzenia.

– A zatem – zaczął – odpowiadaj, czy jest ci znany niejaki Juda z Kariotu, i co na przykład mówiłeś temu człowiekowi o Cezarze, jeżeli w ogóle mówiłeś cokolwiek.

– To było tak – nad wyraz chętnie aresztowany rozpoczął swoją opowieść. – Przedwczoraj wieczorem w pobliżu świątyni poznałem pewnego młodzieńca, który przedstawił się jako Juda z miasta Kariot. Zaprosił mnie do swojego domu w Dolnym Mieście i ugościł...

– Dobry człowiek? – spytał Piłat i diabelskie ogniki błysnęły w jego oczach.

– Bardzo dobry i dociekliwy człowiek – potwierdził aresztant – wykazał niezwykle wprost zainteresowanie moimi przemyśleniami, podjął mnie wielce serdecznie...

– Zapalił świeczniki... – przez zęby, wpadając w ton aresztanta, objawił Piłat, przy czym jego oczy załśniły.

– Tak – trochę zdziwiony znakomitym rozeznanie namiestnika ciągnął Jezua – poprosił mnie, abym zapoznał go z moimi poglądami na władzę państwową. Tą kwestią był nad zwyczaj zainteresowany.

– I coś powiedziałeś? – spytał Piłat. – Możesz mi odpowiedzieć, że nie pamiętasz, co mówiłeś – ale w głosie Piłata czuło się jedynie beznadziejność.

– Mówiłem między innymi – zaczął aresztant – także o tym, że wszelka władza okazuje się gwałtem zadawanym ludziom i że przyjdzie taki czas, gdy nie będzie już władzy ani cesarskiej, ani żadnej innej. Człowiek wstąpi do królestwa prawdy i sprawiedliwości, gdzie w ogólności żadna władza nie będzie już potrzebna.

– Dalej!

– Dalej nic nie było – odparł aresztant – wpadli ludzie, związali mnie i zaprowadzili do więzienia.

Sekretarz, starając się nie uronić ani słowa, zapisywał szybko na pergaminie kropka w kropkę to, co usłyszał.

– Nie było na świecie, nie ma i nigdy nie będzie żadnej władzy wspanialszej i lepszej dla ludzi niż władza imperatora Tyberiusza! – urywany i zbolący głos Piłata nabrał mocy.

Namiestnik z jakiegoś powodu patrzył z nienawiścią na sekretarza i konwój.

– I nie tobie będzie dane, bezrozumny złoczyńco, ją osądzać!
– Tu Piłat wykrzyczał ni stąd, ni zowąd: – Wyprowadzić konwój z balkonu! – I zwróciwszy się w stronę sekretarza, dodał: – Chcę zostać sam na sam z przestępcą, to sprawa wagi państwowej!

Konwój wzniosł włócznie i miarowo dudniąc podkutymi kaligami, zszedł z balkonu do ogrodu, a wraz z nim również sekretarz.

Milczenie, które zaległo na balkonie, co jakiś czas zakłócała jedynie pieśń wody w fontannie. Piłat patrzył, jak nad miedzianą dyszą wydyma się wodny talerzyk, jak rozplývają się jego krawędzie, opadając strużkami w dół.

Pierwszy zaczął mówić aresztant:

– Widzę, że stało się jakieś nieszczęście z powodu mojej rozmowy z tym młodzieńcem z Kariotu. Mam niejasne przeczucie, hegemonie, że przytrafi mu się coś złego, i bardzo mi go żal.

– Myślę – z dziwnym uśmiechem odparł namiestnik – że istnieje na świecie jeszcze ktoś, kogo mógłbyś bardziej żałować niż tamtego Judę z Kariotu, kogoś, komu będzie znacznie gorszej niż Judzie! Tak też Marek Szczurobójca, zimny i zdeklarowany oprawca, i ci ludzie, którzy, jak widzę – tu namiestnik wskazał na okaleczoną twarz Jezui – bili cię za twoje prorocтва, i rozbójnicy Dismas i Gestas, którzy ze swymi kompanami zabili czterech moich żołnierzy, i w końcu ten popapwany zdrajca Juda – wszyscy oni są dobrymi ludźmi?

– Tak – odpowiedział aresztant.

– I nastanie królestwo prawdy?

– Nastanie, hegemonie – z przekonaniem odpowiedział Jezua.

– Nigdy nie nastanie! – Piłat krzyknął nagle, tak strasznym głosem, że Jezua cofnął się. Tak właśnie wiele lat temu w Dolinie Dziewic krzyczał Piłat do swojej jazdy: „Bić ich! Siekać! Olbrzym Szczurobójca osaczony!”. Jeszcze bardziej podniósł zdarty od wykrzykiwania rozkazów głos, tak aby jego słowa były słyszane w ogrodzie: – Złoczyńca! Złoczyńca! Złoczyńca! – A potem, ściszywszy głos, spytał: – Jezuo Ha-Nocri, czy wierzysz w jakichś bogów?

– Bóg jest jeden – odparł Jezua – i w niego wierzę.

– To módl się do niego! Módl jak najgoręcej! Zresztą... – tu głos Piłata osłabł – to też nie pomoże. Masz żonę? – spytał z niejasnych pobudek ze smutkiem, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

– Nie. Jestem samotny.

– Przeklęte miasto... – nie wiedzieć czemu mruknął nagle namiestnik i wstrząsnął ramionami, jakby owiał go chłód, a dłonie potarł w taki sposób, jakby je obmywał. – Gdyby poderżnęli ci gardło, zanim spotkałeś Judę z Kariotu, byłoby o wiele lepiej dla ciebie.

– A może byś mnie wypuścił, hegemonie – zaleknionym głosem nieoczekiwanie poprosił aresztant. – Czuję, że chcą mnie zabić.

Twarz Piłata zniekształcił grymas złości, zwrócił ku Jezui przekrwione białka oczu i wycedził:

– Czy doprawdy sądzisz, nieszczęsny, że rzymski namiestnik wypuści na wolność człowieka mówiącego to, co ty mówiłeś? O bogowie, bogowie! Czyżbyś wymyślił sobie, że możemy zamienić się miejscami? Ja twoich poglądów nie podzielam! A teraz posłuchaj: jeżeli powiesz od tej chwili choćby jedno słowo, jeżeli zagadasz do kogokolwiek – to strzeż się mnie! Powtarzam: strzeż się.

– Hegemonie...

– Zamilcz! – ryknął Piłat, posyłając rozeźlone spojrzenie ja-skółce, która znów śmignęła nad balkonem. A potem krzyknął: – Do mnie!

Kiedy sekretarz wraz z konwojem wrócili na swoje miejsca, Piłat oznajmił, że zatwierdza wyrok śmierci wydany przez zgromadzenie Małego Sanhedrynu na przestępcę Jezua Ha-Nocri, co niezwłocznie odnotował sekretarz.

Po chwili przed namiestnikiem stanął Marek Szczurobójca. Namiestnik nakazał mu odstawić przestępcę do dowódcy tajnej służby, i jednocześnie przekazać dowódcy polecenie hegemonu, aby Jezua Ha-Nocri nie kontaktował się z innymi skazanymi, a także aby ludziom z tajnych służb wydać zakaz obwarowany surowymi karami, zakaz rozmawiania o czymkolwiek z Jezua i udzielania mu odpowiedzi na jakiekolwiek pytania.

Na dany przez Marka znak żołnierze konwoju otoczyli Jezusę i sprowadzili z balkonu.

Potem stanął przed namiestnikiem jasnobrody urodziwy młodzieniec. Z połyskującymi na piersiach pyskami lwów z orlimi piórami w grzebieniu hełmu, ze złotymi blaszkami na pochwie miecza, ze sznurowanymi po kolana butami na potrójnej podeszwie i przerzuconą przez lewe ramię szkarłatną peleryną. Był to dowodzący legionem legat.

Namiestnik spytał go, gdzie się obecnie znajduje sebastijska kohorta. Legat oznajmił, że sebastjczycy tworzą kordon na placu przed hipodromem, tam gdzie zostanie obwieszczony ludowi wyrok na przestępców.

Zaraz po tym namiestnik polecił legatowi wydzielić dwie centurie z rzymskiej kohorty. Jedna z nich pod dowództwem Szczurobójcy będzie eskortowała na Łysą Górę skazanych, wozy ze sprzętem potrzebnym do egzekucji i oprawców. A kiedy już tam przybędzie, ma się przyłączyć do kordonu ochraniającego jej szczyt. Drugą nie zwlekając należy posłać na Łysą Górę, niech utworzy kordon już teraz. Hegemon poprosił również legata, aby z tym samym zadaniem osłaniania Góry wysłać pomocniczy korpus kawaleryjski, syryjską alę.

Kiedy legat opuścił balkon, namiestnik nakazał sekretarzowi zaprosić do pałacu przewodniczącego i dwóch członków Sanhedrynu, a także przełożonego kapłanów świątyni jerozolimskiej, dodając, iż pragnie, aby wszystko zostało załatwione w taki sposób, aby miał możliwość pomówienia na osobności z przewodniczącym, zanim wszystko się zacznie.

Polecenia namiestnika wykonane zostały szybko i dokładnie, a słońce, które w owe dni paliło Jerozolimę z tak niezwykłym okrucieństwem, nie zdążyło się jeszcze zbliżyć do zenitu, gdy na górnym balkonie ogrodu koło dwóch białych lwów z marmuru strzegących schodów Piłat spotkał się z pełniącym obowiązki przewodniczącego Sanhedrynu arcykapłanem judejskim Józefem Kajfaszem.

W ogrodzie było cicho. Ale przed namiestnikiem, wychodzącym spod kolumnady na zalaną słońcem górną część ogrodu, ze stojącymi tam dziwacznymi słoniowatymi nogami palm, odsłaniał

się widok na całą znieenawidzoną Jerozolimę, na wiszące mosty, na mury obronne, a przede wszystkim na jerozolimską świątynię, która po prostu jest niedającą się opisać górą marmuru nakrytą zamiast dachu złotą smoczą łuską – tam wyczulony słuch hegemona wychwycił dobiegający z oddali, gdzieś z dołu od strony muru odgradzającego najniższe tarasy pałacowego ogrodu od miejskiego placu, przytłumiony pomruk, ponad który co pewien czas wzbijały się ledwo słyszalne, słabiutkie ni to jęki, ni to krzyki.

Do namiestnika dotarło w końcu, że tam na placu zgromadziły się już nieprzebrane tłumy mieszkańców Jerozolimy poruszonych minionymi rozruchami w mieście, że tłumy oczekują z niecierpliwością na ogłoszenie wyroku, słyszał również pokrzykujących w tym kłębowisku natrętnych sprzedawców wody.

Namiestnik zaczął od zaproszenia arcykapłana pod kolumnadę, aby ukryć się przed bezlitosnym skwarem, ale Kajfasz podziękował uprzejmie, wyjaśniając, że w przededniu święta nie może skorzystać z zaproszenia. Więc Piłat nakrył kapturem swoją już nieco łysiejącą głowę i rozpoczął rozmowę. Rozmowa toczyła się w języku greckim.

Piłat powiedział, że rozpatrzył już sprawę Jeszui Ha-Nocri i zatwierdził karę śmierci.

I w ten sposób na karę śmierci, która powinna zostać wymierzona jeszcze dziś, skazano trzech zbirów: Dismasa, Gestasa i Bar Rabbana, a oprócz nich jeszcze tego Jeszue Ha-Nocri. Dwaj pierwsi, jako ci, którzy podburzali lud do buntu przeciwko Cezarowi i ujęci zostali z bronią w ręku przez władze rzymskie, należą do namiestnika i o nich nie mówimy. Natomiast dwaj pozostali, Bar Rabban i Ha-Nocri, zostali zatrzymani przez władze miejscowe i sądził ich Sanhedryn. Więc zgodnie z prawem i obyczajem jednego z dwóch przestępców należy ulaskawić i uwolnić w związku z rozpoczynającym się dziś wielkim świętem Paschy.

A zatem namiestnik pragnąłby się dowiedzieć, którego z dwóch przestępców Sanhedryn zamierza uwolnić: Bar Rabbana czy Ha-Nocri?

Kajfasz skłonił głowę na znak, że rozumie pytanie i odrzekł:
– Sanhedryn prosi, aby ulaskawić Bar Rabbana.

Namiestnik dobrze wiedział, że odpowiedź arcykapłana będzie dokładnie taka, wiedział też, że teraz jego zadaniem jest wiarygodnie pokazanie zdumienia, które wywołała odpowiedź Kajfasza.

Piłat zrobił to perfekcyjnie. Brwi na hardym obliczu uniosły się i namiestnik spojrzał arcykapłanowi prosto w oczy z najwyższym zdumieniem.

– Przyznaję, że ta odpowiedź mnie zaskoczyła – łagodnie przemówił namiestnik – obawiam się jednak, że mogło nastąpić pewne nieporozumienie w tej kwestii.

Następnie wyjaśnił dokładnie. Władze rzymskie nie zamierzają porywać się na prawo do samostanowienia lokalnej władzy duchownej, o czym arcykapłan wie wystarczająco dobrze, ale w danym przypadku musiała zejść niewątpliwa pomyłka. I władze rzymskie są jak najbardziej zainteresowane naprawieniem owej pomyłki.

W rzeczy samej: ciężar przestępstw Bar Rabbana i Ha-Nocri jest nieporównywalny. Jeżeli ten drugi człowiek, bez wątpienia chory umysłowo, winien jest wygłaszania niedorzecznych przemówień w samej Jerozolimie i w niektórych innych miejscowościach, o tyle ten pierwszy ma na sumieniu znacznie poważniejsze wystęпки. Mało tego: pozwalał sobie otwarcie wzywać do buntu, a na dodatek zabił strażnika podczas próby zatrzymania. Bar Rabban stanowi bez porównania większe zagrożenie niż Ha-Nocri.

W związku z powyższym namiestnik prosi arcykapłana o ponowne rozpatrzenie sprawy i ułaskawienie mniej szkodliwego z dwóch osądzonych, a najmniej szkodliwym, bez cienia wątpliwości, jest Ha-Nocri. A więc?...

Kajfasz odparł cichym, lecz zdecydowanym głosem, że Sanhedryn wnikliwie rozpatrzył sprawę i powtórnie oznajmia, że zamierza uwolnić Bar Rabbana.

– Jak to? Nawet po moim wstawiennictwie? Po wstawiennictwie tego, którego ustami przemawia rzymska władza? Arcykapłanie, powtórz to po raz trzeci.

– I trzeci raz oświadczam, że uwalniamy Bar Rabbana – cicho odpowiedział Kajfasz.

Wszystko zostało zakończone i nie było o czym mówić. Ha-Nocri odchodził na zawsze, więc już nikt nie będzie w stanie

uleczyć namiestnika z potwornych i złośliwych bólów głowy, bo nie istniał żaden inny sposób, oprócz śmierci. Teraz jednak to nie ta myśl była powodem niepokoju Piłata, tylko niepojęta tęsknota, która ogarniała go już wcześniej, na balkonie, a w tym momencie przeniknęła do całego jestestwa. Starał się wyjaśnić jej obecność, a wyjaśnienie było dziwne: namiestnikowi zrobiło się smutno, odnosił niejasne wrażenie, że czegoś nie dopowiedział w rozmowie ze skazanym, a być może czegoś nie dosłyszał.

Piłat odpędził tę myśl, i ona odleciała w mgnieniu oka, tak jak przyleciała. Odleciała, pozostawiając niewytłumaczalną tęsknotę, niewytłumaczalną, bo przecież nie mogła niczego wyjaśnić inna myśl, która mignęła jak błyskawica i natychmiast zgasła, krótka myśl: „Nieśmiertelność... nadeszła nieśmiertelność...”. Czyja nieśmiertelność nadeszła? Tego namiestnik nie pojął, ale myśl o owej zagadkowej nieśmiertelności zmroziła go pomimo skwaru.

– Dobrze – powiedział Piłat. – I niech tak będzie.

W tym momencie rozejrzał się, obrzucił wzrokiem widzialny świat, zdziwiony widokiem zmian, które w nim zaszły. Zniknął ciężki od kwiatów krzew róży, znikły cyprysy okalające górny taras ogrodu, drzewo granatu i biała statua w zieleni, a nawet sama zieleń. W to miejsce wpłynęły jakieś szkarłatne cedziny, w których kołysały się wodorosty i sunęły nie wiadomo dokąd, a wraz z nimi kołysał się i unosił sam Piłat. Tylko że teraz unosił go, dusząc i paląc, najbardziej przerażający gniew, gniew bezsilności.

– O! Powietrza! – wymodlił Piłat. – Brakuje mi powietrza!

Wilgotną zimną dłonią wyszarpnął sprzączkę spod kołnierza peleryny, a ta upadła na piasek.

– Dziś jest duszno, skądś nadciąga burza – odezwał się Kajfasz, nie spuszczać oczu z poczerwieniałej twarzy namiestnika i przewidując wszystkie męczarnie, jakie go jeszcze czekają, rzucił: – Oj, jakież jest w tym roku straszny miesiąc nisan!

– Nie – odrzekł Piłat – to nie od tego, że jest duszno, ale jest mi za ciasno z tobą, Kajfaszu. – I zmrużywszy oczy, Piłat uśmiechnął się i dodał: – Strzeż się, arcykapłanie!

Ciemne oczy arcykapłana błysnęły, udał zdumienie nie gorzej, niż uczynił to jakiś czas temu namiestnik.

– Co ja słyszę, hegemonie? – odparł dumnie i spokojnie. – Grozisz mi po tym, jak sam zatwierdziłeś wydany wyrok? Czy to możliwe? Przywykliśmy już do tego, że namiestnik Rzymu dobiera słowa, zanim je wypowie. Czy przypadkiem nikt nas nie słyszał, hegemonie?

Piłat martwymi oczami popatrzył na arcykapłana i wyszczerzył się w perfidnym uśmiechu.

– Ależ arcykapłanie! Kto nas mógłby tutaj usłyszeć? Czy jestem podobny do młodego nawiedzonego włóczęgi, który będzie dziś stracony? Czy jestem jakimś chłopaczkiem? Wiem, co mówię i gdzie mówię. Straże wokół ogrodu, straż wokół pałacu, mysz się nie prześlizgnie przez żadną szczelinę. Nie tylko mysz, nie prześlizgnie się nawet ten, jak mu tam... ten z miasta Kariot. A tak przy okazji: czy znasz kogoś takiego, arcykapłanie? Tak... gdyby ktoś taki dostał się tutaj, gorzko by pożałował. W to możesz mi chyba uwierzyć? Tak też, arcykapłanie, wiedz, że odtąd nie zaznasz spokoju! Ani ty, ani twój lud! – I Piłat wskazał miejsce w dali, po prawej stronie, gdzie na wysokości jaśniała świątynia. – Ja ci to mówię, Poncjusz Piłat, Jeździec Złotej Włóczni!

– Wiem, wiem! – odrzekł bez lęku czarnobrody Kajfasz, a w jego oczach pojawiły się błyski. Wzniósł rękę ku niebu i ciągnął dalej: – Lud judejski wie dobrze, że nienawidzisz go okrutną nienawiścią, że będziesz przyczyną wielu jego udręczeń, lecz zgubić go nie zdołasz! Bóg go obroni! Usłysz nas i wysłucha wszechpotężny Cezar i ukryje nas przed zgubę niosącym Piłatem!

– O nie! – zawołał Piłat. Z każdym słowem było mu coraz lżej i lżej, nie musiał już niczego więcej udawać, nie musiał przebierać w słowach. – Zbyt często skarżyłeś się na mnie Cezarowi, ale wreszcie nadeszła moja godzina, Kajfaszu! Teraz poleci ode mnie wiadomość, i nie do namiestnika Antiochii, nie do Rzymu, tylko wprost na Kaprę, do samego imperatora poleci wiadomość o tym, jak tu w Jerozolimie, ukrywacie przed śmiercią oczywistych buntowników. I nie wodą z sadzawki Salomona, jak to chciałem uczynić dla waszego dobra, napoję wtedy Jerozolimę! Nie, nie wodą! Przypomnij sobie, jak musiałem z twojego powodu zdjąć ze ściany tarcze z imperatorskimi buńczukami, przemieszczać wojska, aż w końcu jak widzisz, musiałem sam przyjechać, by zobaczyć, co

się też u was wyprawia! Zapamiętaj sobie moje słowa, arcykapłanie, że nie jedną kohortę zobaczysz w Jerozolimie, o nie! Przyjdzie pod mury miasta cały legion Fulminata, przyjdzie arabska konnica, a wtedy usłyszysz gorzki płacz i narzekania! Przypomnisz sobie wtedy Bar Rabbana, którego ocaliłeś, i pożałujesz, że posłałeś na śmierć filozofa z tym jego całym kaznodziejstwem o pokoju!

Twarz arcykapłana pokryła się plamami, jego oczy płonęły. I podobnie jak namiestnik jakiś czas temu wyszczerzył się w perfidnym uśmiechu i odparł:

– Wierzysz, namiestniku, w to, co sam mówisz? Nie, ty w to nie wierzysz. Bo to nie pokój, nie pokój przyniósł ludowi Jerozolimy ten kusiciel. A ty, którego nazywają Jeźdźcem Złotej Włóczni, wiesz o tym doskonale. Chciałeś go wypuścić po to, by mącił ludowi w głowach, aby poniewierał naszą religię, aby popchnął lud wprost pod rzymskie miecze! Ale ja, arcykapłan judejski, dopóki żyję, nie dam poniewierać wiary i obronię lud! Słyszysz mnie, Piłacie? – I tu Kajfasz uniósł gniewnie rękę: – Przysłuchaj się, namiestniku!

Kajfasz zamilkł, a namiestnik usłyszał znów coś jakby szum morza, napływający aż pod mury ogrodów Heroda Wielkiego. Szum ów dobiegał z dołu, wznosił się ku stropom, ku twarzy namiestnika. A za plecami Piłata, za skrzydłami pałacu słyszać było trwożne sygnały trąbek, ciężki chrzęst setek nóg i szcęk żelaza – namiestnik zrozumiał, że to rzymska piechota wychodzi, zgodnie z jego rozkazem, kierując się na straszną dla buntowników i zabójców przedśmiertną defiladę.

– Słyszysz, hegemonie? – cicho powtórzył arcykapłan. – Czy powiesz mi może, że to wszystko – tu arcykapłan uniósł obie ręce, a ciemny kaptur zsunał mu się z głowy – wywołał ten pożałowania godny rabuś Bar Rabban?

Namiestnik wierzchem dłoni otarł mokre, zimne czoło, spojrział na ziemię, potem zmrużywszy oczy, spojrział w niebo. Zobaczył, że rozpaloną kulę ma nieomal dokładnie nad głową, a cień Kajfasza skulił się tuż koło lwiego ogona. Powiedział spokojnie i obojętnie:

– Zbliża się południe. Ciągłe jesteśmy pochłonięci rozmową, a przede wszystkim liczą się obowiązki.

W najbardziej wyszukanych zwrotach przeprosił arcykapłana, prosząc, aby przysiadł sobie na ławeczce w cieniu magnolii i czekał, zanim nie przywoła pozostałych osób, niezbędnych do przeprowadzenia krótkiej narady, i póki nie wyda jeszcze jednego polecenia związanego z egzekucją.

Kajfasz skłonił się uprzejmie, przykładając dłoń do serca, i pozostał w ogrodzie, a Piłat wrócił na balkon. Oczekującemu tam nań sekretarzowi kazał wezwać do ogrodu legata legionu, trybuna kohorty oraz dwóch członków Sanhedrynu i naczelnika straży świątyni, którzy oczekiwali wezwania na dolnym tarasie ogrodu w okrągłej altance z fontanną. Piłat dodał jeszcze, że za chwilę sam zjawi się w ogrodzie, i udał się do pałacu.

Gdy sekretarz organizował naradę, namiestnik w osłoniętej od słońca ciemnymi zasłonami komnacie miał spotkanie z pewnym człowiekiem, którego twarz w połowie była przesłonięta kapturem, chociaż w komnacie promienie słońca nie mogły go niepokoić. Spotkanie było nadzwyczaj krótkie. Namiestnik powiedział po cichu kilka słów, po czym przybysz oddalił się, a Piłat poprzez kolumnadę podążył do ogrodu.

Tam w obecności wszystkich, których życzył sobie widzieć, namiestnik uroczyście, lecz z pewną dozą oschłości powtórzył, że utrzymuje w mocy wydany wyrok śmierci na Jezusie Ha-Nocri i oficjalnie zasięgnął informacji u członków Sanhedrynu dotyczącej kwestii, którego ze skazanych przestępców należy zachować przy życiu. Usłyszawszy odpowiedź, że Bar Rabbana, powiedział:

– Bardzo dobrze – i polecił sekretarzowi w tymże momencie wnieść to do protokołu, zacisnął w dłoni podniesioną z piasku przez sekretarza sprzączkę i rzucił uroczyście: – Już czas!

I wtedy wszyscy obecni ruszyli w dół szerokimi marmurowymi schodami, pomiędzy ścianami róż, roztaczającymi wokół odurzającą woń, i schodząc wciąż niżej i niżej, zeszli pod pałacowy mur, ku bramie prowadzącej na wielki gładko wybrukowany plac, w końcu którego było widać kolumny i posągi jerozolimskiego gimnazjonu.

Gdy tylko cała grupa, wyszedłszy z ogrodów na plac, wspięła się na obszerny, królujący nad placem kamienny podest, Piłat, rozglądając się spod przymrużonych powiek, starannie oceniał

sytuację. Przestrzeń, którą dopiero co przemierzył, przestrzeń pomiędzy murem pałacowym a podestem, zionęła pustką, ale za to Piłat nie był już w stanie zobaczyć placu, który roztaczał się tuż przed nim – wchłonał go tłum. Tłum zalałby również i sam podest wraz z pustą przestrzenią, gdyby nie powstrzymywał go potrójny kordon sebastyjskich żołnierzy z lewej strony od Piłata i taki sam kordon żołnierzy iturejskiej kohorty pomocniczej z prawej.

A zatem Piłat wstąpił na podest, machinalnie zaciskając w dłoni bezużyteczną sprzączkę i mrużąc oczy. Namiestnik nie dlatego je mrużył, że oślepiało go słońce, o nie! On z jakichś tam powodów nie chciał widzieć grupy skazanych, których, jak dobrze wiedział, wprowadzą niebawem w ślad za nim na podest.

Gdy tylko biała peleryna ze szkarłatnym podszyciem pojawiła się w górze na kamiennym występie, nad skrajem ludzkiego morza, odwracającemu wzrok Piłatowi prosto w uszy uderzyła fala składająca się z dźwięków: Ha-a-a... Zaczynająca się niezbyt głośno, zrodziwszy się gdzieś daleko, koło hipodromu, rosła w gromopodobną siłę, utrzymywała się tak przez kilka sekund, i zaczęła słabnąć. „Dostrzegli mnie” – zaniepokoił się namiestnik. Fala dźwięku jeszcze nie osiągnęła dna, a już nieoczekiwanie zaczęła od nowa narastać i poddając się oszalałej huśtawce, wzbiła się znacznie wyżej niż poprzednia i na tej drugiej fali, niczym morska piana, zakotłował się świst i pojedyncze dające się rozróżnić wśród ryku jęki kobiet. „Więc wprowadzili ich na podest... – pomyślał Piłat – a te jęki, to jęki tych kilku kobiet, które stratosowano, kiedy tłum zaczął przeć do przodu”.

Przeczekał czas jakiś, wiedząc, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby ten rozbuchany tłum do milczenia, dopóki nie wypuści z siebie tego wszystkiego, co nagromadziło się w jego wnętrzu, i sam nie zamilknie.

I kiedy nadszedł ten moment, namiestnik wzniosł prawą rękę, co zdmuchnęło z tłumy resztki jazgotu.

Wtedy Piłat nabrał w piersi ile tylko mógł gorącego powietrza i zawołał, a jego ochrypy głos poniósł się nad tysiącami głów:

– W imieniu Cezara Imperatora!...

I tu od jego uszu odbił się powtarzający raz po raz żelazny, miarowy krzyk – to w kohortach, wznosząc w górę włócznie i godła, przerażająco porykiwali żołnierze:

– Niech żyje Cezar!!!

Piłat zadarł głowę i wbił ją prosto w słońce. Pod powiekami zapłonął zielony ogień, od którego zajął się mózg, i poleciały nad tłumem zachrypte aramejskie słowa:

– Czterech przestępców aresztowanych w Jerozolimie za morderstwa, podżeganie do buntu i obrazę prawd wiary skazano na haniebną śmierć przez powieszenie na słupach! Egzekucja nastąpi teraz na Łysej Górze! Imiona przestępców to: Dismas, Gestas, Bar Rabban i Ha-Nocri! Oto oni, stoją przed wami!

Piłat wskazał ręką w prawo, chociaż nie widział żadnych przestępców, ale miał pewność, że są tam, gdzie jest ich miejsce.

Tłum odpowiedział przeciągłym pomrukiem, jakby zdumienia, a może ulgi. A kiedy się wyciszył, Piłat kontynuował:

– Ale straconych zostanie tylko trzech, albowiem zgodnie z prawem i obyczajem na cześć święta Paschy jednemu z osądzonych, wybranemu decyzją Małego Sanhedrynu, po zatwierdzeniu przez rzymską władzę, wspaniałomyślny Cesarz Imperator darowuje mu jego godne pogardy życie!

Piłat wykrzykiwał te słowa, słysząc równocześnie, jak na zmianę ze zgiełkiem zstępuje wielka, wielka cisza. Teraz żaden szept ani westchnienie nie dobiegały do jego uszu, nadszedł nawet moment, w którym Piłatowi zaczynało się wydawać, że wszystko dookoła znikło bez śladu. Znienawidzone miasto umarło i tylko on jeden stoi przepalony na wylot prostopadle padającymi promieniami, z twarzą wlepioną w niebo. Piłat jeszcze na chwilę przedłużył ciszę, a zaraz potem zaczął wykrzykiwać:

– Imię tego, który teraz w waszej obecności zostanie wypuszczony na wolność...

Zrobił jeszcze jedną pauzę, opóźniając ogłoszenie imienia, chciał raz jeszcze zastanowić się, czy powiedział wszystko, co należało, wiedząc, że martwe miasto zmartwychwstanie po usłyszeniu imienia tego szczęściarza, i żadne z potem wypowiedzianych słów usłyszane być nie mogą.

„To wszystko? – bezgłośnie szepnął do siebie Piłat. – Wszystko. Teraz imię!”.

I przetaczając literę „r” ponad zamkniętym miastem, wykrzyczał:

– Bar Rabban!

W tym momencie odniósł wrażenie, że słońce, zadzwoniwszy, rozpadło się tuż nad nim, zalewając uszy ognistą lawą. W tym ogniu buszowały ryk, skowyt, jęki, śmiechy i gwizdy.

Piłat obrócił się i ruszył poprzez podest w kierunku schodów, patrząc jedynie na różnobarwną szachownicę kamieni pod nogami, wyłącznie dlatego, aby się nie potknąć. Wiedział, że teraz za jego plecami spadają na podest niczym grad monety z brązu i daktyle, że w wyjącej tłuszczy ludzie tratuja się i włożą sobie nawzajem na plecy, żeby lepiej i na własne oczy zobaczyć – cud – człowieka, który był w rękach śmierci i wyrwał się z jej rąk. Były tylko zobaczyć, jak legionieści przecinają sznury, sprawiając mu przy tym bezwiednie okrutny ból w powykęcanych podczas śledztwa rękach! A on, wykrzywiając się i pojękując, uśmiecha się zarazem bezmyślnym i oszalałym uśmiechem.

Wiedział, że w tym samym czasie konwój prowadzi ku bocznym schodom trzech ze związanymi rękami, żeby wyprowadzić ich za chwilę na drogę wiodącą na zachód, za miasto, ku Łysej Górze.

Dopiero wtedy poczuł się bezpieczny, kiedy podniósłszy wzrok, nie mógł już dojrzeć skazanych.

Do wrzawy tłumu, która wreszcie zaczynała ucichać, dołączyły się przenikliwe okrzyki heroldów, powtarzających po aramejsku i po grecku to wszystko, co namiestnik wykrzyczał z podestu. Oprócz tego do uszu Piłata doleciał urywany drobny stukot końskich kopyt i dźwięk trąbki wydającej krótkie, wesołe tony. Tym dźwiękom odpowiadały przenikliwe gwizdy chłopaków siedzących na dachach domów przy ulicy prowadzącej z bazaru na plac koło hipodromu i krzyki „strzeżcie się”...

Żołnierz stojący samotnie pośrodku pustej części placu trwożnie pomachał odznaką i namiestnik, legat legionu oraz sekretarz wraz z konwojem przystanęli.

Kawalerska ala wpadła rysią⁶, ogarniając ulicę szalonym tempem, i wypadła na plac, omijając zgromadzone tłumy, by przez

⁶ Rysią (czyli klusem) – znaczy to samo w polskim i rosyjskim języku. W tym wypadku Bułgakov używa słów Zagłoby: „Rysią, mości panowie” z „Ogniem i mieczem” H. Sienkiewicza. To była jego ulubiona książka, czytał

zaulek obok murów obrośniętych winoroślą najkrótszą drogą pocwałować ku Łysej Górze.

Pędzący rysią na czele ali dowódca wzrostu chłopaczka o ciemnej skórze mulata Syryjczyk, zrównawszy się z Piłatem, coś tam piskliwie krzyknął, wyszarpnąwszy miecz z pochwy. Złośliwy, spieniony, kary koń wyrwał się z szeregu i stanął dęba. Wsunąwszy miecz do pochwy, dowódca krótkim biczem smagnął konia po karku, wyrównał do szeregu, ruszył truchtem w zaulek, by po chwili przejść w galop. Za nim trójkami pognali w tumanach pyłu jeźdźcy, podrygiwały końce lekkich bambusowych pik, obok namiestnika przemykały jeszcze bardziej smagłe w połączeniu z białymi turbanami twarze z wesoło wyszczerzonymi połyskującymi zębami.

Wzbijając w niebo pył, ala wtargnęła w zaulek, i tuż koło Piłata przegalopował ostatni żołnierz, z przewieszoną przez ramię błyszczącą w słońcu trąbką.

Ochraniając dłonią przed pyłem zmarszczoną z niezadowolenia twarz, Piłat ruszył dalej, kierując się ku bramie do pałacowego ogrodu, a za nim podążali legat, sekretarz i konwój.

Było około dziesiątej rano.

ją oczywiście po polsku. Rysią będą pędzić Behemot, Stiopa Lichodiejew, bufetowy itd.